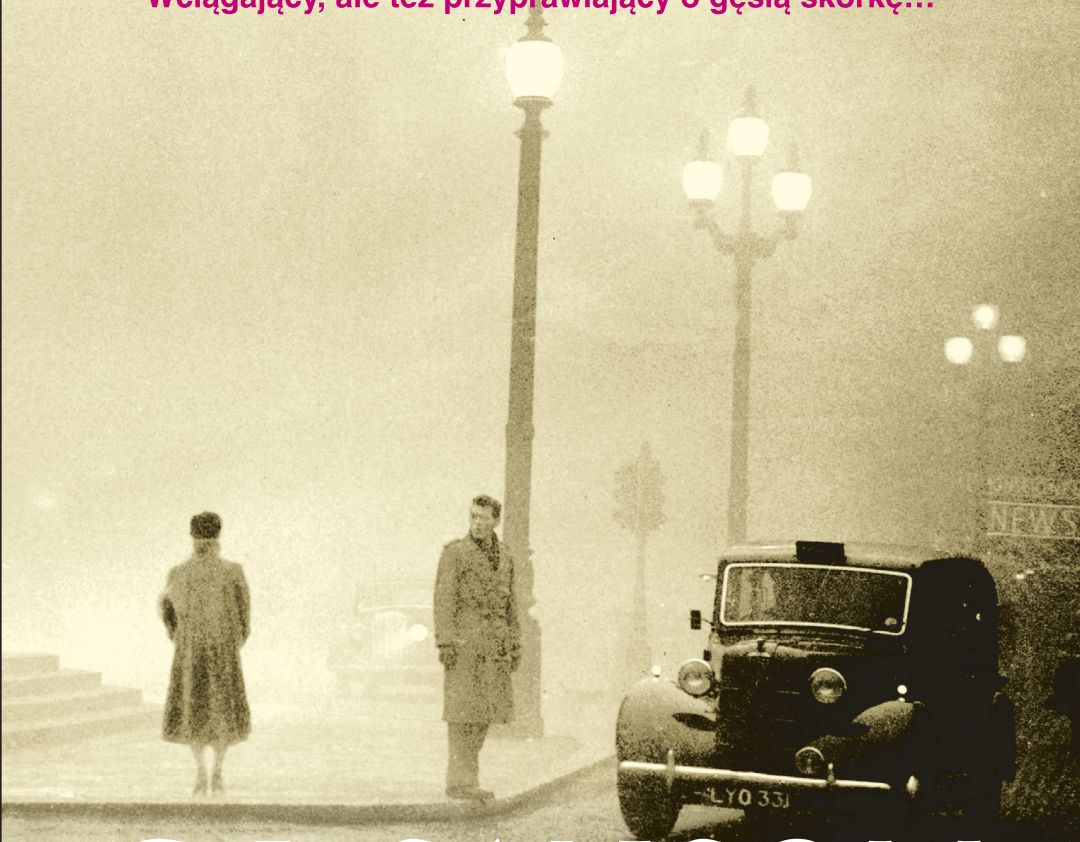


PAPIEROWE IMPERIUM

Thriller szpiegowski łączący elementy powieści
mistrzów gatunku – Johna Le Carré i Roberta Harrisa.
Wciągający, ale też przyprawiający o gęśią skórę...



C.J. SANSOM

Prolog

*Sala posiedzeń rządu, Downing Street 10, Londyn,
16.30, 9 maja 1940*

Churchill przyszedł ostatni. Zapukał ostro i wszedł do środka. Za wysokimi oknami dobiegał końca ciepły wiosenny dzień, na Horse Guards Parade kładły się cienie. Szef klubu konserwatystów, Margesson, siedział razem z premierem Chamberlainem i ministrem spraw zagranicznych lordem Halifaxem przy długim, podobnym do trumny stole, który zajmował większą część sali posiedzeń. Kiedy Churchill podszedł bliżej, Margesson, ubrany jak zawsze w nieskazitelny czarny żakiet, wstał z krzesła.

— Winstonie.

Churchill skinął głową, mierząc go surowym spojrzeniem. Margesson, będący człowiekiem Chamberlaina, utrudniał mu życie, gdy przed wojną występował przeciwko partyjnej polityce wobec Indii i Niemiec. Następnie odwrócił się do Chamberlaina i lorda Halifaxa, który wspierał premiera w polityce ustępstw wobec Niemiec.

— Neville. Edwardzie.

Obaj mężczyźni wyglądali marnie; z ust Chamberlaina zniknął drwiący, arogancki uśmieszek, którym zraził sobie członków Izby Gmin poprzedniego dnia podczas debaty na temat wojskowej klęski w Norwegii. Dziewięćdziesięciu konserwatystów głosowało razem z opozycją bądź też wstrzymało się od głosu; Chamberlain opuścił salę posiedzeń przy akompaniamencie okrzyków „Odejdź!”. Oczy premiera były zaczerwienione z niewyspania, a może nawet od łez — choć trudno było wyobrazić sobie płaczącego Neville’a Chamberlaina.

Poprzedniego wieczoru w rozgorączkowanej Izbie Gmin powtarzano, że nie przetrwa na swoim stanowisku.

Halifax wyglądał trochę lepiej. Wysoki, chudy jak tyczka minister spraw zagranicznych był jak zawsze wyprostowany, ale jego twarz oblekła się śmiertelną bladością. Biała skóra opinała kości policzkowe. Krążyły pogłoski, że nie kwapi się wcale do objęcia stanowiska premiera, brakuje mu odwagi — w stresowych sytuacjach cierpiał na dotkliwe bóle brzucha.

— Jakie są najnowsze wiadomości? — zapytał ponurym głębokim głosem Churchill, lekko sepleniąc.

— Siły niemieckie nadal gromadzą się przy granicy z Belgią. Mogą zaatakować w każdej chwili.

Przez moment trwała cisza, w której zaskakująco głośno brzmiało tykanie stojącego na kominku podróznego zegara.

— Usiądź, proszę — powiedział Chamberlain.

Churchill zajął krzesło.

— Dyskutowaliśmy wczoraj dość długo na temat głosowania w Izbie Gmin — podjął smutnym głosem premier. — Uważamy, że trudno mi będzie pozostać na stanowisku. Postanowiłem odejść. Moje poparcie w partii słabnie. Gdyby trzeba było uzyskać wotum zaufania, ci, którzy wczoraj się wstrzymali, mogliby zagłosować przeciwko rządowi. A w Partii Pracy dają do zrozumienia, że przystąpią do koalicji tylko z nowym premierem. Nie mogę kontynuować mojej misji przy tym poziomie osobistych antypatii.

Chamberlain spojrział na Margessona, jakby oczekiwał od niego pomocy, ale szef klubu pokiwał tylko ze smutkiem głową.

— Jeśli mamy zawrzeć koalicję, co jest konieczne, kluczową sprawą jest jedność narodowa.

Patrząc na Chamberlaina, Churchill poczuł, że jest mu go nawet żal. Stracił wszystko; przez dwa lata starał się spełniać żądania Hitlera, wierząc w Monachium, że Führer po raz ostatni wysunął roszczenia terytorialne. Tymczasem zaledwie kilka miesięcy później zajął on Czechosłowację, a potem najechał Polskę. Po klęsce Polski nastąpiło kilka miesięcy militarnego impasu, „dziwna wojna”. W zeszłym miesiącu Chamberlain oznajmił w Izbie Gmin, że Hitler „spóźnił się na autobus”, jeśli chodzi o wiosenną kampanię, lecz zaraz potem Niemcy najechały Norwegię, wypierając z niej siły brytyjskie. Następna miała być Francja. Chamberlain spojrział na Churchilla i Halifaxa.

— Tekę obejmie któryś z was — powiedział. — Jeśli takie będzie życzenie, mogę pracować pod kierownictwem jednego albo drugiego.

Churchill pokiwał głową i odchylił się w krześle. Spojrzał na Halifaxa, który zmierzył go chłodnym, badawczym spojrzeniem. Churchill wiedział, że tamten trzyma w ręku prawie wszystkie karty, że w roli premiera widzi go większość Partii Konserwatywnej. Był wicekrólem Indii, przez długie lata ważnym ministrem, chłodnym, dostojnym arystokratą, człowiekiem szanowanym i budzącym zaufanie. A większość torysów nigdy nie wybaczyła Churchillowi jego liberalnej przeszłości i tego, że sprzeciwiał się polityce własnej partii wobec Niemiec. Uważali go za awanturnika, kogoś nieobliczalnego i niewiarygodnego. Chamberlain chciał, by premierem został Halifax. Popierał go również Margesson i większość gabinetu, a także, o czym wiedział Churchill, król, który był jego przyjacielem. Ale Halifax nie miał w sobie ani trochę ognia. Podczas gdy Churchill szczerze nienawidził Hitlera, Halifax traktował przywódcę nazistów z patrycjuszowskim lekceważeniem; oświadczył kiedyś, że jedynymi ludźmi, którym Führer utrudnił życie w Niemczech, są Żydzi i paru działaczy związkowych.

Z drugiej strony od wypowiedzenia wojny we wrześniu 1939 roku Churchill złapał wiatr w żagle; kiedy jego dotyczące Hitlera ostrzeżenia okazały się w końcu słuszne, Chamberlain musiał dokooptować go do rządu. Ale jak rozegrać tę jedyną kartę? Churchill usadowił się wygodniej na krześle. Lepiej nic nie mówić, pomyślał, zobaczyć, co zamierza Halifax, czy w ogóle chce tego stanowiska, a jeśli tak, to jak bardzo.

— Winstonie. — W głosie Chamberlaina zabrzmiał pytający ton. — We wczorajszej debacie bardzo surowo potraktowałeś laburzystów. I zawsze byłeś ich zaciekłym przeciwnikiem. Nie sądzisz, że może to stanowić pewną przeszkodę?

Churchill nie odpowiedział, ale raptownie wstał, podszedł do okna i wyrzwał na zewnątrz. Nie odpowiadaj, pomyślał. Niech Halifax się odśloni.

Zegar na kominku wybił z metalicznym brzękiem piątą. A potem z zewnątrz dobiegło głębsze, bardziej tubalne brzmienie Big Bena. Kiedy ucichło, Halifax zdecydował się w końcu przemówić.

— Uważam — powiedział — że mnie akurat łatwiej będzie współpracować z laburzystami.

Churchill utkwiał w nim płonący wzrok.

— Będzie trzeba stawić czoło straszliwym przeciwnościom, Edwardzie — stwierdził.

Halifax robił wrażenie zmęczonego i bardzo nieszczęśliwego, ale na jego twarzy malowała się determinacja. Znalazł jednak w sobie dość odwagi.

— Dlatego właśnie, Winstonie, chciałbym mieć cię przy swoim boku w nowym, mniejszym gabinecie wojennym. Byłbyś w nim ministrem obrony, odpowiedzialnym za całłościowe prowadzenie wojny.

Churchill rozważał przez chwilę tę propozycję, poruszając powoli swoją ciężką szczęką. Jeśli będzie kierować całym wojennym wysiłkiem, być może uda mu się zdominować Halifaxa, który stanie się premierem tylko z nazwy. Wszystko zależało od tego, kogo jeszcze Halifax doberze do rządu.

— A inni? — zapytał. — Kogo nominujesz?

— Z Partii Konserwatywnej będę ja, ty i Sam Hoare; moim zdaniem to najlepiej odzwierciedla spektrum opinii w partii. Attlee z ramienia laburzystów oraz Lloyd George jako przedstawiciel liberałów i symbol narodowy, człowiek, który doprowadził nas do zwycięstwa w tysiąc dziewięćset osiemnastym roku. — Halifax popatrzył na Chamberlaina. — Myślę, że ty byłbyś najbardziej użyteczny jako przewodniczący Izby Gmin, Neville — powiedział.

To był fatalny układ, najgorszy z możliwych. Lloyd George, który, choć ostatnio się z tego wycofał, przez całe lata trzydzieste wielbił Hitlera, nazywając go niemieckim George'em Washingtonem. No i Sam Hoare, mistrz polityki appeasementu, stary wróg Churchilla. Attlee, mimo całej swojej nieśmiałości, był wojownikiem, ale we dwóch znajdują się w mniejszości.

— Lloyd George ma siedemdziesiąt siedem lat — zauważył Churchill. — Czy poradzi sobie z brzemieniem, które trzeba będzie udźwignąć?

— Uważam, że tak. Poza tym jego obecność w rządzie podniesie morale. — Halifax odzyskał chyba pewność siebie. — Chciałbym bardzo, żebyś w tym momencie stał u mego boku, Winstonie — powtórzył.

Churchill wahał się. Wiedział, że gabinet wojenny w tym nowym składzie nie pozwoli mu na samodzielność. Miał świadomość, że Halifax zgodził się zostać premierem niechętnie, z poczucia obowiązku. Będzie robił co w jego mocy, ale nie miał serca do czekającej ich walki. Jak tylu innych walczył w wielkiej wojnie i bał się powtórzenia tamtej

rzezi.

Przez chwilę Churchill zastanawiał się, czy nie wyjść z rządu; ale co by to dało? Margesson miał rację; najważniejsza była teraz powszechna jedność. Zrobi, co będzie mógł, dopóki będzie to możliwe. Wcześniej tego dnia wydawało mu się, że nadeszła w końcu jego godzina, okazało się jednak, że jest inaczej.

— Będę pracował pod twoim kierownictwem — powiedział z ciężkim sercem.

Rozdział pierwszy

Listopad 1952

Prawie wszyscy jadący metrem w kierunku stacji Victoria wybierali się, podobnie jak David i jego rodzina, na obchody Dnia Pamięci. Ranek był zimny, mężczyźni i kobiety mieli na sobie czarne zimowe palta. Czarne lub ciemnobrązowe były również szaliki i damskie torebki; tylko w butonierkach mieli zatknięte jasnoczerwone maki. David wsiadł razem z Sarah i jej matką do wagonu, znaleźli dwie wolne drewniane ławki i usiedli naprzeciwko siebie.

Kiedy metro wyjechało z turkotem ze stacji Kenton, David rozejrzał się. Wszyscy, jak przystało tego dnia, mieli smutne i poważne miny. Stosunkowo niewielu było starszych mężczyzn — większość weteranów wielkiej wojny znajdowała się już w centrum Londynu i szykowała do marszu przed Grobem Nieznanego Żołnierza. David był weteranem drugiej wojny, krótkiego konfliktu w latach 1939—1940, który ludzie w zależności od poglądów politycznych nazywali kampanią dunkierską albo żydowską wojną. Ale o nim, służącym wówczas w Norwegii, a także o innych niedobitkach pokonanej, upokorzonej armii, po której wycofaniu się z Europy nastąpiła szybka kapitulacja Wielkiej Brytanii, w ogóle nie wspominało się podczas obchodów Dnia Pamięci. Nie mówiło się również o brytyjskich żołnierzach poległych w niekończących się konfliktach w Indiach — a ostatnio w Afryce — które wybuchły po zawarciu traktatu pokojowego w 1940 roku. Dzień Pamięci miał teraz wyraźnie polityczne przesłanie: pamiętajcie o rzezi, do jakiej doszło, gdy Wielka

Brytania i Niemcy walczyły z sobą w latach 1914—1918; pamiętajcie, że nigdy nie można do tego ponownie dopuścić. Brytania musi pozostać sojusznikiem Niemiec.

— Zbierają się chmury — powiedziała matka Sarah. — Mam nadzieję, że nie zacznie padać.

— Nie martw się, Betty — pocieszył ją David. — Zapowiadali, że skończy się na zachmurzeniu.

Betty pokiwała głową. Nieduża, pulchna kobieta koło sześćdziesiątki przez całe życie opiekowała się ojcem Sarah, któremu w bitwie nad Sommą w 1916 roku odstrzelono pół twarzy.

— Maszerowanie w deszczu jest dla Jima bardzo uciążliwe — powiedziała. — Woda kapie mu pod protezę, a on oczywiście nie może jej zdjąć.

Sarah wzięła matkę za rękę. Na jej kwadratowej twarzy z odziedziczonym po ojcu mocno zarysowanym, zaokrąglonym podbródkiem malowała się powaga. Spod skromnego czarnego kapelusza wystawały zakręcone przy końcach długie blond włosy. Betty uśmiechnęła się do córki. Pociąg zatrzymał się na stacji i do wagonu wsiadło dużo ludzi.

— Jest więcej pasażerów niż zwykle — zauważyła Sarah.

— Ludzie chcą pewnie obejrzeć po raz pierwszy królową — odparł David.

— Mam nadzieję, że uda nam się odnaleźć Steve'a i Irene — powiedziała Betty. W jej głosie znowu zabrzmiała troska.

— Powiedziałam, żeby zaczekali na nas przy kasach biletowych — uspokoiła ją Sarah. — Na pewno ich znajdziemy, mamo.

David wyrżał przez okno. Niezbyt mu się uśmiechało spędzenie całego popołudnia z siostrą żony i jej mężem. Irene była dość sympatyczna, choć często opowiadała głupoty i nigdy nie zamykały się jej usta, ale z trudem znosił Steve'a, z jego mieszkanką fałszywej poufałości i arogancji oraz poglądami wywodzącymi się z ideologii Czarnych Koszul. Wiedział, że będzie musiał jak zwykle nabrać wody w usta.

Pociąg zatrzymał się z nagłym zgrzytem tuż przed wjazdem do tunelu. Gdzieś w pobliżu zasyczały hamulce.

— Tylko nie dziś — jęknął ktoś. — Te spóźnienia są coraz częstsze. To niedopuszczalne.

Tory biegły między ustawionymi do nich tyłem i pokrytymi sadzą

ceglanymi domami. Z kominów unosił się szary dym, na podwórkach suszyło się pranie. Ulice były puste. W witrynie sklepu spożywczego tuż pod nasypem wisiał duży napis SPRZEDAŻ NA KARTKI. Pociąg zadygotał nagle i wjechał do tunelu, ale już po chwili ponownie się zatrzymał. David zobaczył odbijającą się w ciemnej szybie własną twarz i szerokie kłapy jego grubego ciemnego palta. Spod melonika wystawało kilka niesfornych kosmyków ostrzyżonych krótko czarnych włosów. Gładkie, regularne rysy sprawiały, że nie wyglądał na swoje trzydzieści pięć lat. Przypomniawszy sobie nagle dzieciństwo, matkę, która zagadywała stale odwiedzające ją przyjaciółki: „Przystojny z niego chłopczyk, prawda? Można by go schrupać żywcem”. Mówiła to z wyraźnym dublińskim akcentem, a on nie wiedział, gdzie ma podziąć oczy. Nieproszone pojawiło się kolejne wspomnienie, z czasów, gdy miał siedemnaście lat i wygrał międzyszkolny puchar w skokach do wody. Pamiętał, jak stał wysoko na wieży, widząc niżej twarze widzów i czując pod stopami lekko drżącą deskę. Dwa kroki do przodu i skok w dół, w taflę nieruchomej wody. Chwila lęku, a potem radość, kiedy zanurzał się w otchłannej ciszy.



Steve i Irene czekali na nich na stacji Victoria. Starsza siostra Sarah była podobnie jak ona, wysoka i jasnowłosa, z odziedziczonym po ich matce dołeczkiem pośrodku podbródka. Miała na sobie czarne palto z brązowym kołnierzem z gęstego futra. Steve był przystojny w nieco łajdacki sposób: z cienkim czarnym wąsikiem wyglądał niczym Errol Flynn dla ubogich. Włosy pod czarną fedorą miał mocno wypomadowane. David poczuł zapach chemikaliów, wymieniając ze szwagrem uścisk dłoni.

— Co słyszać w służbie cywilnej, stary? — zapytał Steve.
— Jakoś leci.
— Nadal strzeżecie imperium?
— Tak jakby... Jak się miewają chłopcy?
— Wspaniale. Z każdym tygodniem robią się coraz więksi i bardziej hałaśliwi. W przyszłym roku chyba ich zabierzemy, będą już wystarczająco duzi.

David spostrzegł, jak przez twarz Sarah przelatuje cień. Domyślił się, że pomyślała o ich nieżyjącym synu.

— Musimy się pośpieszyć, jeśli chcemy złapać metro do

Westminsteru — powiedziała Irene. — Patrzcie, ile narodu.

Dołączyli do tłumu zmierzającego do ruchomych schodów. W zbitej masie ludzi musieli zwolnić kroku i David przypomniał sobie, jak w 1940, powłócząc nogami, wchodził wraz z innymi znużonymi żołnierzami na pokład jednego ze statków ewakuujących brytyjskie oddziały z Norwegii.



Skręcili w Whitehall. Ministerstwo Davida mieściło się tuż za Grobem Nieznanego Żołnierza. Mijający go przechodnie nadal zdejmowali z szacunkiem nakrycia głowy, ale z każdym rokiem było ich coraz mniej — od zakończenia wielkiej wojny minęły już trzydzieści cztery lata. Niebo było szarobiałe, powietrze mroźne. Ludzie, których oddechy zamieniały się w obłoczki pary, zajmowali w milczeniu miejsca za niskimi metalowymi barierkami, naprzeciwko wysokiego, białego i prostokątnego pomnika, otoczonego szpalerem policjantów w ciężkich płaszczach. Sporo było wśród nich zwykłych konstablów w hełmach, ale dużą część stanowili funkcjonariusze Wydziału Specjalnego w płaskich czapkach z daszkiem i bardziej dopasowanych niebieskich mundurach. Kiedy powołano tę formację w latach czterdziestych, żeby tłumiła coraz częściej wybuchające zamieszki, ojciec Davida powiedział, że przypominają mu Black and Tans, agresywnych wojennych weteranów zwербowanych przez Lloyda George'a do wspierania policji podczas irlandzkiej wojny o niepodległość. Wszyscy byli uzbrojeni.



W ciągu ostatnich lat ceremonia zmieniła swój charakter; żołnierze służby czynnej nie stali już wokół Grobu Nieznanego Żołnierza i nie zasłaniali widoku, a za barierkami ustawiono drewniane schodki, żeby można się było na nie wspiąć. Odbывało się to zgodnie z tym, co premier Beaverbrook określał mianem „demistyfikacji obchodów”.

Rodzinie Davida udało się zająć dobre miejsce naprzeciwko Downing Street i wielkiego wiktoriańskiego gmachu Ministerstwa do spraw Dominiów, w którym pracował. Za barierkami, po trzech stronach pomnika, ustawili się już przywódcy wojskowi i przedstawiciele hierarchii kościelnej. Żołnierze byli w galowych mundurach, a arcybiskup Headlam, przewodzący temu odłamowi

Kościół anglikańskiego, który nie odłączył się w proteście przeciwko kompromisom zawartym z reżimem, we wspaniałych zielono-złotych szatach liturgicznych. Obok nich stali politycy i ambasadorowie, każdy z własnym wieńcem. David uważnie im się przyjrzał; był tam premier Beaverbrook z pomarszczoną drobną twarzą i mięsistymi szerokimi wargami, które wykrzywił w smutnym grymasie. Przez czterdzieści lat, odkąd w atmosferze biznesowych skandali po raz pierwszy przybył do Anglii z Kanady, Beaverbrook łączył budowę swego prasowego mocarstwa z politycznymi machinacjami, opowiadając się za wolną przedsiębiorczością, trwaniem imperium brytyjskiego i polityką appeasementu. Ufało mu niewiele, nie głosował na niego nikt, a po śmierci w 1945 roku jego bezpośredniego poprzednika, Lloyd George'a, koalicja wybrała go na premiera.

Przy Beaverbrookowi stał, przewyższając go o głowę, lord Halifax, premier, który skapitulował po upadku Francji. Był teraz całkiem łysy. Pod kapeluszem widać było wychudłą, siną twarz i głęboko osadzone oczy, które lustrowały tłum z wyrazem dziwnej konsternacji. Obok niego stali koalicyjni koledzy Beaverbrooka: wysoki i prosty jak tyczka minister spraw wewnętrznych Oswald Mosley; minister do spraw Indii Enoch Powell, dopiero czterdziestoletni, ale wyglądający znacznie starszej z czarnymi wąsami i posępnym wyrazem twarzy; szef Davida, minister do spraw dominiów, wicehrabia Swinton, wysoki i arystokratyczny; minister spraw zagranicznych Rab Butler z obwisłą, żabią twarzą, a także Ben Greene, jeden z niewielu laburzystowskich polityków podziwiających nazistów w latach trzydziestych. Kiedy doszło do rozłamu w Partii Pracy, przywódcą protraktowej mniejszości, która zawiązała koalicję z Halifaxem, został Herbert Morrison; należał do tych polityków, dla których najważniejsza jest żądza władzy. Lecz i on zrezygnował w 1943 roku; podobnie jak konserwatysta Sam Hoare i inni politycy, nie mógł się pogodzić z rozmiarami brytyjskiego wsparcia dla Niemiec; wszyscy wycofali się w domowe zacisze.

Obok nich stali w ciemnych płaszczach przedstawiciele dominiów; David rozpoznał kilku wysokich komisarzy, wśród nich tegoż, nachmurzonego Vorstera ze Związku Południowej Afryki. Za nimi widać było ambasadorów reprezentujących inne kraje, które walczyły w wielkiej wojnie: Rommla z Niemiec, zięcia Mussoliniego, hrabiego Ciana, ambasadorów Francji i Japonii oraz Joego Kennedy'ego z

Ameryki. Nie było tylko przedstawiciela Rosji. Wielka Brytania jako sojusznik Niemiec oficjalnie nadal pozostawała w stanie wojny ze Związkiem Sowieckim, choć żadne jej oddziały nie trafiły do tej gigantycznej maszyny do mięsa, którą była wojna niemiecko-sowiecka, tocząca się od jedenastu lat na olbrzymim, mierzącym dwa tysiące kilometrów froncie.

Trochę dalej grupka mężczyzn tłoczyła się przy kamerze transmisyjnej, wielkim kanciastym urządzeniu otoczonym zwojami grubych kabli i ozdobionym z boku napisem „BBC”. Obok widać było zwalistą postać mówiącego coś do mikrofonu Richarda Dimbleby’ego, ale David stał zbyt daleko, by cokolwiek usłyszeć.

Sarah zadrżała i zatarła dłonie w rękawiczkach.

— Jezu, jak zimno. Biedny tato zamarnie tam, czekając, aż zaczną maszerować — mruknęła, spoglądając na pozbawiony ozdób biały Grób Nieznanego Żołnierza. — Boże, jakie to wszystko smutne.

— Wiemy przynajmniej, że nigdy już nie będziemy toczyli wojny z Niemcami — powiedziała Irene.

— Patrzcie, już się pojawiła — oświadczyła cichym, pełnym szacunku tonem Betty.

Królowa wyszła z gmachu Ministerstwa Spraw Wewnętrznych i w towarzystwie królowej matki, a także swojej babki, starej królowej Marii, oraz trzymających wieńce koniuszych zajęła miejsce przed arcybiskupem. Ciemny strój wcale nie pasował do jej ładnej młodej twarzy. To było jedno z pierwszych publicznych wystąpień królowej po śmierci ojca, który zmarł w lutym tego roku. David odniósł wrażenie, że jest zmęczona i pełna obaw. Wyraz jej twarzy przypominał mu nieżyjącego króla, kiedy w 1940 roku Jerzy VI wraz z Adolfem Hitlerem przemierzał Whitehall w otwartej karecie podczas państwowej wizyty Führera po podpisaniu traktatu pokojowego w Berlinie. David, wciąż wracający do zdrowia po odmrożeniach z Norwegii, oglądał ceremonię na ekranie nowego telewizora, który jego ojciec kupił jako jeden z pierwszych przy ich ulicy, kiedy BBC wznowiła nadawanie. Wydawało się, że Hitler, z promiennym uśmiechem i zaróżowionymi policzkami, był w siódmym niebie. Spełniało się jego wielkie marzenie o przymierzu z aryjskimi brytyjskimi braćmi. Pozdrowiał uniesioną dłonią milczący tłum, podczas gdy król siedział z obojętną miną, maksymalnie od niego odsunięty, tylko co jakiś czas podnosząc rękę. „Dosyć tego”, powiedział wówczas ojciec

David. Oświadczył, że wyjeżdża do Nowej Zelandii, do swojego brata, i jeśli David wie, co dla niego dobre, powinien zrobić to samo i machnąć ręką na swoją pracę w służbie cywilnej. „Chwała Bogu — dodał z pasją — że matka Davida nie musi tego oglądać”.

Sarah wpatrywała się w królową.

— Biedna kobieta — powiedziała.

David pobiegł za jej wzrokiem.

— Nie powinna pozwolić, by robili z niej marionetkę — szepnął.

— A jakie miała inne wyjście?

David nie odpowiedział.

Ludzie w tłumie zerkali na zegarki. W końcu wszyscy umilkli i zdjęli z głów kapelusze i czapki. Po drugiej stronie Westminsteru Big Ben wybił jedenaście uderzeń. Potem zaskakująco głośno w nieruchomym powietrzu zabrzmiał strzał z wielkiego działa, upamiętniający chwilę, gdy w 1918 roku umilkły armaty. Wszyscy pochylili w milczeniu głowy, rozpamiętując straszliwe straty, jakimi okupione zostało zwycięstwo Brytanii w wielkiej wojnie, względnie, tak jak David, wspominając jej klęskę w 1940. Po dwóch minutach polowe działo ustawione na Horse Guards Parade zagrzmiało ponownie, kończąc ciszę. Trębacz zagrał niewiarygodnie smutny i posępny ostatni capstrzyk. Tłum wysłuchał go bez słowa z odkrytymi głowami; słychać było tylko ściszone kaszlnięcia. Za każdym razem, gdy brał udział w tej ceremonii, David dziwił się, że nikt w tłumie nie wybucha płaczem albo — wspominając niedawną przeszłość — nie pada z krzykiem na ziemię.

Kiedy ucichła ostatnia nuta trąbki, orkiestra gwardii zaczęła grać *Marsza żałobnego*. Młoda królowa wzięła o wiele dla niej za duży wieniec z maków, złożyła go przy Grobie Nieznanego Żołnierza i skłoniła w hołdzie głowę. Gdy wróciła na miejsce, w jej ślady poszła królowa matka.

— Została wdową w tak młodym wieku — szepnęła Sarah.

— Tak — mruknął David.

W powietrzu czuć było słaby zapach dymu. Podnosząc wzrok, zobaczył niewyraźne opary. Noc powinna być mglista.

Wieniec złożyli pozostali członkowie rodziny królewskiej, a po nich wojskowi, premier, politycy oraz przedstawiciele rządów imperium. Przy prostym surowym pomniku leżały ciemnozielone wieńce z czerwonymi makami. W tym momencie wystąpił do przodu ambasador

Niemiec, Erwin Rommel, jeden z przywódców zwycięskiej kampanii we Francji. Miał na sobie elegancki mundur, z przypiętym do piersi Krzyżem Żelaznym; na jego twarzy malowały się powaga i smutek. Wieniec, który niósł, był olbrzymi, większy nawet od wienca królowej. Pośrodku na białym tle widniała czarna swastyka. Rommel położył go i z pochyloną głową stał przez dłuższą chwilę w miejscu. Za nim czekał następny w kolejce Joseph Kennedy, długoletni ambasador Stanów Zjednoczonych.

Nagle za plecami Davida rozległy się głośnie okrzyki:

— Precz z nazistowską władzą! Niech żyje demokracja! Niech żyje ruch oporu!

Coś przeleciało nad głowami tłumu i rozbiło się u stóp Rommla. Sarah jęknęła cicho. Irene i kilka innych kobiet w tłumie zaczęły krzyczeć. Stopnie pomnika i dolna część płaszcza Rommla pokryły się czerwienią i David przez moment myślał, że to krew, że ktoś rzucił bombę. Ale potem zobaczył, że po stopniach toczy się w dół puszka po farbie. Rommel nawet nie mrugnął, pozostał tam, gdzie był, za to ambasador Kennedy odskoczył spanikowany do tyłu. Policjanci sięgnęli po pałki i pistolety. Grupa żołnierzy z karabinami gotowymi do strzału dała krok do przodu. David zobaczył, że eskorta pospiesznie wyprowadza rodzinę królewską.

— Naziści precz! — krzyknął ktoś w tłumie. — Chcemy Churchilla!

Policjanci przeskakowali przez barierki. Kilku mężczyzn w tłumie również wyciągnęło broń i rozglądało się gorączkowo dokoła: byli to najprawdopodobniej tajniacy z Wydziału Specjalnego. David przyciągnął do siebie żonę. Ludzie rozstąpili się, żeby przepuścić policjantów, i spostrzegł, że na prawo od niego doszło do przepychanki. Ujrzał uniesioną pałkę i usłyszał, jak ktoś krzyczy: „Załatwcie tych drani!”, zachęcając policję.

— O Boże, co oni robią?! — zawołała Sarah.

— Nie wiem — odparła Irene, obejmując Betty. Starsza pani płakała, a Steve patrzył z chmurną miną na całe zbiegowisko. W tłumie zaczęło być głośno. „Cholerni komuniści, dajcie im popalić!”, krzyczeli jedni. „Mają rację, trzeba wyrzucić Niemców!”, odpowiadali inni.

Chudy brytyjski generał z opaloną twarzą i siwymi wąsami wszedł z megafonem w rękę na schodki otaczające pomnik, przecisnął się

między wieńcami i wezwał ludzi do zachowania porządku.

— Złapali ich? — zapytała Sarah. — Nic nie widzę.

— Chyba tak. Moim zdaniem było ich bardzo niewielu.

— To cholerni zdrajcy! — mruknął Steve. — Mam nadzieję, że powiesz sukinsynów.



Ceremonia została wznowiona, złożono kolejne wieńce, a potem arcybiskup Headlam odprawił krótkie nabożeństwo. Kiedy odmawiał modlitwę, głośniki powtarzały jego słowa z dziwnym metalicznym brzękiem.

— O Panie, wejrzyj na nas, gdy wspominamy dzielnych mężczyzn, którzy zginęli, walcząc o Wielką Brytanię. Pamiętamy o legionach poległych między rokiem tysiąc dziewięćset czterem i tysiąc dziewięćset osiemnastym, w tym wielkim i tragicznym konflikcie, którego ślady nadal wszyscy nosimy, tutaj i w całej Europie. Panie, pomnij na cierpienia tych, którzy się tu zgromadzili i którzy stracili swoich bliskich. Pociesz ich, pociesz ich.

Następnie ruszyła defilada; tysiące żołnierzy, wielu już w podeszłym wieku, maszerowały dumnie w rytmie granych przez orkiestrę dętą popularnych melodii z okresu wielkiej wojny. Każdy kontyngent składał własny wieniec. David i jego rodzina jak zwykle wypatrywali ojca Sarah, ale nie zdołali go dostrzec. Stopnie pomnika wciąż zbryzgane były czerwoną farbą, swastyka Rommła kłuła w oczy pośród innych wieńców. David zastanawiał się, kim byli manifestanci. Być może wywodzili się z jakiejś niezależnej grupy pacyfistów; gdyby nie obawa przed represjami, bojownicy ruchu oporu zastrzeliliby po prostu Rommła i wielu innych stacjonujących w Wielkiej Brytanii nazistów. Biedni nieszczęśnicy, kimkolwiek byli; w tym momencie zbierali pewnie cięgi w ośrodku śledczym Wydziału Specjalnego albo nawet w podziemiach Senate House, gdzie mieściła się niemiecka ambasada. Ponieważ doszło do ataku na Rommła, policja brytyjska przekazała, być może, manifestantów Niemcom. David czuł, jak ogarnia go bezradność. Nie próbował nawet spierać się ze Steve'em. Musiał zachowywać pozory. Nigdy się nie wychylać, odgrywać rolę wzorowego urzędnika służby cywilnej. Szczególnie ze względu na przeszłość rodziny Sarah. Poczuł niezrozumiałą niechęć do żony.

Ponownie popatrzył na maszerujących weteranów. Mijał go właśnie

starszy, mniej więcej sześćdziesięcioletni mężczyzna z poważnym obliczem i dumnie wypiętą piersią. Po jednej stronie munduru miał przypięty rząd medali, po drugiej dużą, jasnożółtą gwiazdę Dawida. Żydzi nauczyli się nie rzucać w oczy i nie ściągać na siebie uwagi, ale ten starszy facet wbrew zdrowemu rozsądkowi maszerował z wyraźnym żółtym symbolem, choć mógł przecież przypiąć do klapy małą odznakę z gwiazdą Dawida, bardzo brytyjską i dyskretną, którą musieli teraz nosić wszyscy Żydzi.

— Żydłak! — zawołał ktoś w tłumie.

Stary weteran nawet nie mrugnął okiem, za to David zagotował się ze złości. Wiedział, że zgodnie z przepisami on też ma obowiązek nosić żółtą odznakę, a poza tym nie powinien w ogóle pracować w państwowym urzędzie, bo Żydom nie wolno było tego robić. Jednak o tym, że matka Davida była irlandzką Żydówką, wiedział wyłącznie jego ojciec, który mieszkał dwadzieścia tysięcy kilometrów stąd. A pół-Żyd był teraz w Wielkiej Brytanii Żydem; karą za zatajenie pochodzenia było bezterminowe internowanie. W spisie powszechnym w 1941 roku, kiedy ludzi po raz pierwszy zapytano o ich wyznanie, David zadeklarował, że jest katolikiem. To samo robił za każdym razem, gdy odnawiał dowód tożsamości, i podczas spisu w 1951 roku, gdy pytano również o żydowskich rodziców i dziadków. Mimo że na ogół starał się o tym nie myśleć, czasami budził się przerażony w środku nocy.



Reszta obchodów minęła bez żadnych przeszkód, a potem spotkali się z ojcem Sarah, Jimem, i pojechali do domu Davida i jego żony, naśladowującego styl Tudorów bliźniaka w Kenton, gdzie Sarah miała ich wszystkich ugościć obiadem. Jim zauważył czerwoną plamę na stopniach pomnika, ale dopiero od nich dowiedział się, że ktoś cisnął farbą w Rommla. W drodze powrotnej zarówno on, jak i Sarah, i David prawie się nie odzywali, za to Irene i Steve nie posiadali się z oburzenia. Kiedy weszli do domu, Steve zaproponował, żeby obejrzeli wiadomości, zobaczyli, co mówią o ataku.

David włączył telewizor i ustawił krzesła przodem do odbiornika. Nie podobało mu się to, że w większości domów telewizor zajmował obecnie centralne miejsce. W ciągu ostatnich dziesięciu lat już połowa ludności dorobiła się tego, co niektórzy nadal nazywali skrzynką dla

idiotów. Posiadanie telewizora stanowiło wyznacznik zamożności. Telewizja w coraz większym stopniu odzwierciedlała życie kraju. Nie nadeszła jeszcze pora wiadomości; nadawano serial dla dzieci, ekranizację przygód Bulldoga Drummonda, z udziałem bohaterskich przedstawicieli imperium oraz zdradzieckich tubylców. Sarah przyniosła herbatę, a David puścił w obieg papierośnicę. Zerknął na Jima. Mimo że jego teść nawrócił się po wielkiej wojnie na pacyfizm, zawsze brał udział w paradzie z okazji Dnia Pamięci; bez względu na to, jak bardzo nienawidził wojny, składał hołd dawnym towarzyszom broni. David zastanawiał się, co myśli o incydencie z farbą, ale Jim siedział odwrócony do niego swoją protetyczną maską. To była dobra proteza, przylegająca do skóry i w kolorze ciała; namalowane płaskie oko otaczały nawet sztuczne rzęsy. Sarah wyznała mu kiedyś, że w dzieciństwie przerażała ją prymitywna maska, jaką nosił wówczas ojciec. Kiedy wziął ją raz na kolana, wybuchła płaczem i Irene musiała ją zabrać. Matka zarzuciła jej, że jest samolubnym, wstrętnym dzieckiem, ale Irene, która była cztery lata starsza od siostry, czule ją objęła. „Nie przejmuj się — powiedziała. — To nie jest wina taty”.

Zaczęły się wiadomości. Obejrzeliby królową oddającą hołd poległym i wysłuchali pełnej szacunku relacji Dimbleby’ego. BBC nie pokazała jednak incydentu z Rommlem; po przedstawicielach imperium składających wieńce pojawił się po prostu ambasador Kennedy. Nie było żadnej przerwy w relacji i ktoś, kto o niczym nie wiedział, nie zauważyłby nawet trwającego ułamek sekundy mignięcia na ekranie. Technicy BBC musieli zmontować na nowo materiał.

— Ani słowa — mruknęła Irene.

— Musieli zdecydować, że tego nie pokażą — stwierdziła Sarah, która zajrzała na chwilę z kuchni do salonu.

— Ciekawe, czego jeszcze nie pokazują — powiedział cicho Jim.

Steve odwrócił się w jego stronę. Był ubrany w jeden ze swoich kolorowych swetrów, który ciasno opinał wystający brzuch.

— Nie chcą, żeby ludzie się denerwowali — powiedział. — Żeby oglądali takie rzeczy w Dniu Pamięci.

— Ale ludzie powinni wiedzieć — oświadczyła z zapalczywością Irene. — Powinni zobaczyć, do czego posuwają się ci podli terroryści. I to w obecności królowej! Biedna dziewczyna! Nic dziwnego, że tak rzadko pokazuje się publicznie. To hańba!

— Takie rzeczy dzieją się, kiedy ludziom zabrania się protestować

przeciwko rządzącym — rzucił David i od razu tego pożałował.

— Rozumiem, że masz na myśli Niemców — odparł Steve. Nadal był podenerwowany i wyraźnie szukał zwady.

David wzruszył obojętnie ramionami, choć najchętniej wybiłby mu wszystkie zęby.

— Niemcy to nasi sojusznicy i mamy cholerne szczęście, że nimi są — podjął jego szwagier.

— Szczęście mają ci, którzy zarabiają na handlu z nimi — odpalił David.

— Co to ma znaczyć, do diabła? To aluzja do moich interesów w Towarzystwie Anglo-Niemieckim?

David popatrzył na niego spode łba.

— Na złodzieju czapka gore.

— Wolałbyś pewnie, żeby zarządzili ludzie z ruchu oporu? Churchill... jeżeli ten stary podżegacz jeszcze żyje... razem z bandą komunistów, z którymi się skumał. Ci, którzy mordują żołnierzy, wysadzają ludzi w powietrze... jak choćby tę małą dziewczynkę, która nastąpiła na minę w Yorkshire w zeszłym tygodniu. — Steve poczerwieniał na twarzy.

— Proszę! — zawołała Sarah, wymieniając porozumiewawcze spojrzenie z Irene. — Nie zaczynajcie się kłócić.

— W porządku — zgodził się Steve. — Nie chcę popsuć do reszty świątecznego nastroju. Ci dranie i tak go już popsuli. To tyle, jeśli chodzi o bezstronność służby cywilnej — dodał z przekąsem.

— O co ci chodzi, Steve? — zapytał ostro David.

— O nic. — Steve podniósł pojednawczo ręce. — Pasuję.

— Rommel — odezwał się ze smutkiem Jim. — Podobnie jak ja, walczył na frontach wielkiej wojny. Dzień Pamięci nie powinien mieć tak ściśle wojskowego charakteru. Wtedy ludzi nie korciłoby, żeby protestować. Krążą plotki, że Hitler jest bardzo chory — dodał. — Ostatnio w ogóle nie pokazuje się w telewizji. A teraz, kiedy w Ameryce wracają do władzy demokraci, może dojdzie do jakichś zmian. — Jim uśmiechnął się do żony. — Zawsze mówiłem, że to nie może trwać wiecznie, musimy tylko poczekać.

— Gdyby Herr Hitler był chory, z pewnością by nam powiedzieli — stwierdził kategorycznym tonem Steve. David zerknął na Sarah, ale nic nie powiedział.



Później, kiedy reszta rodziny odjechała nowym morrisem minorem Steve'a, David i Sarah zaczęli się kłócić.

— Dlaczego musisz się z nim zawsze handryczyć? — zapytała. Była wyczerpana; przez całe popołudnie obsługiwała rodzinę, włosy miała w strączkach, głos schrypnięty. — I to w obecności taty, akurat dzisiaj. Przecież sam powiedziałeś przed kilku laty, żebym trzymała się z dala od polityki — dodała z goryczą po krótkim wahaniu. — Mówiłeś, że bezpieczniej jest nabrać wody w usta.

— Wiem. Przepraszam. Ale Steve mógłby czasem zamknąć jadaczkę. Nie mogłem się po prostu powstrzymać.

— Jak, twoim zdaniem, czujemy się podczas tych awantur ja i Irene?

— Przecież nie lubisz go tak samo jak ja.

— Musimy go znosić. Ze względu na rodzinę.

— Tak, i chodzić do niego w gości. Patrzeć na to zdjęcie na kominku, na którym stoi razem ze Speerem i swoimi kolegami z biznesu, oglądać na półce książki Mosleya i *Protokoły mędrców Syjonu* — mruknął z niechęcią David. — Nie wiem, dlaczego nie zapisze się do Czarnych Koszul. Miałby to już za sobą. Ale wtedy musiałby ćwiczyć, zrzucić trochę sadła.

— Czy nie dosyć już wycierpieliśmy?! Nie dosyć?! — zawołała niespodziewanie Sarah i wyszła z salonu.

David usłyszał, jak wchodzi do kuchni i zatrząskuje za sobą drzwiami. Wstał i zaczął stawiać na wózku brudne talerze i sztućce. Wytaczając go do holu, nie mógł się powstrzymać, by nie zerknąć w górę schodów, gdzie przy zdartej teraz tapecie zamontowana była kiedyś bramka dla dziecka. Od śmierci Charliego on i Sarah mówili o położeniu nowej tapety, ale, podobnie jak w wielu innych sprawach, nigdy się do tego nie zabrali. Za chwilę do niej pójdzie, przeprosi, spróbuje choć trochę zasypać coraz bardziej dzielącą ich przepaść. Jednak wiedział, że nigdy jej do końca nie zasypie. Nie teraz, kiedy miał przed nią tyle tajemnic.